

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe

XVII

Już rano owiewa nas nastrój, jaki zwykle towarzyszy powrotowi. Niby to jeszcze jesteśmy w drodze, ale ogarnia nas nieuzasadniony pośpiech. Wstaliśmy wcześniej, niż zazwyczaj, ale zwycięża jeszcze nawyk zwiedzania.

Idziemy przez stare miasteczko ku jego najwyższej części, gdzie, oddzielony od protestanckiego miasta, króluje na wzgórzu patyną wieków pokryty, katolicki kościół, pochodzący w swej konstrukcji architektonicznej z VIII w. Dostaje się doń po licznych schodach kamiennych, a wewnątrz czyni istotnie wrażenie budowli przedwiecznej. Szczególnie kościół podziemny, romańskiej struktury, gdzie obszerne sklepienie opiera się na zdumiewająco płaskich łukach, przenosi oglądającego w czasy średniowiecznych męczenników chrześcijaństwa, szczerzących religiję Chrystusową w środkowej Europie.

O kilkadziesiąt metrów poniżej znajduje się kościół protestancki. Obserwujemy, jak tłumy dzieci na zakończenie roku szkolnego sprowadzono w pochodzie dla wysłuchania kazania pastora. Towarzyszą im rodzice, postrojeni świątecznie, a dzieciaki gwarzą ze sobą i nie przejawiają bynajmniej nastroju skupienia.

Opuszczamy Chur i jedziemy dalej w otoczeniu śnieżnych Alp w kierunku Bodeńskiego jeziora. Koło Buchs skręcamy jednak, by przejechać przez jedno jeszcze z niezależnych mocarstw europejskich, przez księstwo Lichtenstein.

Księstwo Lichtenstein, wciśnięte między Austrię i Szwajcarię, stanowi po dziś dzień samodzielną dzierżawę tego książęcego rodu. Teraz po Anschlussie Austrii coraz głośniejszy mówi się o drugim, mniejszym Anschlussie, o wcieleniu księstwa do Trzeciej Rzeszy. Na razie jednak przejeżdżamy przez terytorium niepodległe.

Zaraz potem Feldkirch, dawna granica austriacka, od niedawna granica niemiecka. Oglądanie paszportów, wizowanie tryptyku, wystawianie zaświadczeń walutowych. Wszystko odbywa się bardzo uprzejmie i przyjaźnie, a na zakończenie „Heil Hitler”. Zagłębiamy się w Tyrol.

Odrzućmy ubranie, gołe kolana, kapelusze z piórkami. Dobra droga alpejska wiedzie przez Bludenz na przełęcz Arlberg. Zaczynają się znowu serpentyny, znowu czas sami trzeba wychadzać motor, bo gotuje się woda. Aneroid wskazuje ponad 1800 m.

Zjeżdżamy w dół. Jesteśmy w dolinie Innu, który przebiega się przez góry z zachodu na wschód i zmierza aż do Innsbrucka. Po kilkudziesięciu kilometrach miasteczko Landeck. Tu porzucimy drogę na Innsbruck i zwrócimy się na północ.

Mały postój. Realizujemy akre dytywy, spożywamy lunch, zakrapiony austriackim winem. Cenny, jak w typowym kraju dwuwalutowym. Na pierwszym miejscu w austriackich szynkach, a obok w niemieckich markach. Obie waluty kursują.

Po sześćdziesięciu kilometrach w Griesen dawna granica austriacko-bawarska. Dziś nikt nie zatrzymuje, a domki straży granicznej opustoszały. Anschluss.

Droga ciągle górzysta. Jedziemy przez Alpy bawarskie. Ruch tutaj niewielki, spotykamy niemal wyłącznie samochody i autobusy wycieczkowe. Szosa mija uroczę, niebieskie jeziora, jedno po drugim.

Osiągamy słynną stolicę sportów zimowych, Garnisch - Partenkirchen. Tutaj odbywają się olimpiady narciarskie, stąd w lecie wyruszają tłumy na wyprawę w Alpy bawarskie.

Skusiło nas bawarskie piwo i zatrzymujemy się na odpocznik. Małe intermezzo, bo Wiktor oblewa moje płócienną ubranie całą bombą Kulmbachera. Na szczęście piwo nie płam; tak nauczyła mnie kiedyś w Zakopanem piękna, młoda góralka, która oblała mnie tym trunkiem. Dziewczyna miała rację i słusność jej doświadczenia objawiła się nawet tutaj po tylu latach.

I znowu pędzimy w stronę Monachium. Słońce już kloni się ku zachodowi i panuje rześwy chłód. Droga wysmienita. Dopełzamy ją kiś samochód. Kieruje nim Niemka, znakomicie zbudowana, o typowej twarzy Walkirii. Jej otwarty samochód czyni wrażenie luksusowego, sportowego wozu. Gdyśmy ją mijali, ujrzeliśmy na jej twarzy grymas niezadowolenia.

Nie wiem, czy przeszło dziesięć minut, gdy usłyszeliśmy za sobą alarmujący sygnał, domagający się przepuszczenia. Usuwamy się na bok i ku naszemu zdumieniu sportsmenka mija nas w szalonym pędzie. Z triumfującym uśmiechem pozdrowiła nas ręką.

Tego Władek nie lubi. I to w dodatku kobieta! Zaczyna się wyścig.

Ale Walkiria — to pierwszorzędny kierowca. Umyka, jak zając. Nie dba o zakręty, wymija

brawurowo inne wozy. To nie w kij dmuchał.

Parę razy udaje nam się zbliżyć. Ale ledwo Władek daje sygnał, Niemka przyspiesza i ucieka. 110 km. nie wystarcza, nie wystarcza nawet 120 km. Niemka ogląda się, śmieje i wali szosą bez pamięci.

Władek zachwycony przeciwniczką. Ale nie rezygnuje. Dać zwyciężyć kobiecie? To się stać nie może. Toteż dodaje gazu i już na zwykłej, krętej szosie gnamy 125 km. bezustannie.

Zbliżamy się widocznie. Odległość maleje i zwycięstwo oczekuje nas z każdą chwilą. Władek daje już sygnał, domagający się zrobienia miejsca na przejazd. Ale kobieta, rozpromieniona wyścigiem, nie słucha. Nie usuwa się z drogi, nie daje za przegraną. Jakiś wóz ciężarowy, idący z przeciwka, ratuje ją z opresji. Muśnięmy zwolnić, a Niemka ucieka.

I znowu wyścig. Znowu 125 km., nawet 130 km. dopełzamy. Teraz Władek już nie żartuje, nie daje nawet sygnału. W pełnym pędzie, jakiś czas obok siebie, wyrwamy szosą. Jej wóz zostaje w tyle.

Była tak rozniewana, że nie pozdrowiła nas nawet. Władek uśmiecha się złośliwie.

Wpadamy w ulicę małego miasteczka Starnberg. Tu postanowiliśmy nocować. Zatrzymujemy się

mochoł, by rozejrzeć się za hotelem.

Nagle z poza nas ukazuje się rozpedzony wóz. To nasza Niemka prowadzi. Warto było obserwować wyraz jej twarzy. W pierwszej chwili sądziła, że odniosła zwycięstwo. Roześmiała się niemal głośno. Ale błyskawicznie zrozumiała, że myśły zakończyli już naszą jazdą. Zaciśnięta wargi ze złością. A w końcu znowu zagrały w niej instynkty sportowe. Zwolniła tempo i mijając nas obróciła się z uśmiechem i pozdrowiła nas ręką, jakby wyrażała uznanie. Potem dopiero dodała gazu i pogoniła w kierunku Monachium.

My, wierni naszej tradycji, by zatrzymać się w małych miastach, pozostaliśmy w Starnberg.

Wstyd panie Gadebusz!

Dygnitarz polskich zrzeszeń gospodarczych udaje Niemca

Ksawery Gadebusz, właściciel fabryki kosmetyków „Axela” w Poznaniu, radca Izby Przemysłowo-Handlowej, prezes poznańskich drogistów, członek zarządu związku obrony przemysłu polskiego i v. prezes wielkopolskich związków chrześcijańskich zrzeszeń kupieckich wprowadził ostatnio do handlu krem przeciw piegom, zaopatrując ten specyfik w następującą etykietę.

Poznańscy się śmieją, że p. Gadebusz chcąc pożytkować niemiecką klientelę Wielkopolski i Górnego Śląska, gwałtownie udaje nie tylko Niemca, ale nawet niemieckiego junkra, używając bezprawnie tytułu „von”.

Zresztą p. Gadebusz naraził się nie tylko na śmieszność, lecz i swoim postępowaniem wywołał oburzenie wśród polskiego kupiectwa.

Dla celów zysku p. Gadebusz wypuszcza w Polskę towar zaopatrzony wyłącznie w niemiecką etykietę i przekręca nazwę ulicy „Nowa” na „Neue”.

Gdy za czasów pruskich s. p. szambelan Cegielski płacił wielokrotnie kary, nie chcąc na tabliczce domowej zmienić nazwy ul. Podgórna na Berg-Str., p. Gadebusz postępuje wręcz odwrotnie, przekształcając samowolnie polską nazwę ulicy na niemiecką.

Takie postępowanie nie licuje z godnością dygnitarza wymienionych instytucji i zrzeszeń i nale-



ży przypuścić, że wszystkie te instytucje zrewidują swój stosunek do osoby p. Gadebusza.

Niech sobie zresztą p. Gadebusz poluje na klientelę niemiecką, drogerzyści polscy i polska publiczność powinni dać nauczkę temu panu, który chcąc leczyć piegi, sam się upstrzył na niemieckiego junkra.

Wstyd, panie Gadebusz, przesyłam, Herr von Gadebusch, Ritter zu Axela.

Kościół w Wolczynie



Tak wygląda miejsce, w którym spoczęły prochy ostatniego króla Polski — Stanisława Augusta.

POLSKA JEST PIĘKNA!

POZNAJ POLSKĘ!

B. HOFMANN

28)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przetrzacone na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— No, dalej!
— Panie komisarzu, chciałbym powiedzieć jeszcze kilka słów o jegomościu, który wczoraj wieczorem dopytywał się o Akubę.

— Więc co?
— To jest szczegół na pozór nic nie znaczący, a jego oświetlenie jest tylko moim domysłem. Otóż portier w hotelu „Carlton” jest bardziej ciekawy wszystkiego i bardziej sprostregawszy niż dyrektor albo szef recepcji. Gdy przyszedł domniemany de Katt i zapytał o Akubę, portier powiedział, że go nie ma. Wówczas przybył, nie wymienając nazwiska, oświadczył, że zna osobę Akubę i że na niego zszedł w hallu. I rzeczywiście usiadł w kącie. W hotelu był duży ruch i portier zapomniał o tym wydarzeniu. Przypomniał sobie dopiero wówczas, gdy przyszedł Akuba, ale tego pana, który chciał się z nim widzieć, już nie było. Portier nawet nie spostrzegł, kiedy i jak on zniknął.

Zapadło milczenie. Po kilku minutach Weninga podjął:
— Nie dopatruję się w tym nic osobliwie ciekawego. Nie wiemy przede wszystkim, czy to był naprawdę de Katt.
— Przypuszczam, że on — odparł ostrożnie Rottwijn.

Weninga popatrzał w zamyśleniu na wywiadowcę, zapalił świeżego papierosa, zaciągając się głęboko.

— Nie rozumiem, do czego pan zdąży — rzucił wreszcie.
— Nasuwałyby się różne przypuszczenia, panie komisarzu. Na przykład, de Katt mógł czekać na moment, gdy przestanie na siebie ściągać uwagę, potem wysiłł się niepostrzeżenie z hallu i poszedł po schodach na górę, by poszperać w pokojach Akuby, korzystając z nieobecności gospodarza.

— Hm... — mruknął Weninga. — A czego tam szukał?
— To już trzeba zapytać de Katta, panie komisarzu. W każdym razie mam zamiar to zrobić.

— Zobaczymy, co z tego wyniknie...
— Udałem się następnie do hotelu „Doulén”. Dowiedziałem się, że Stanton tam wynajął pokój. Kazałem go otworzyć. Ręczna walizka, drugie ubranie, bielizna, przybory toaletowe — wszystko nowe. Stąd wniosek: Stanton musiał przed wyjazdem otrzymać pieniądze.

— Bardzo trafne spostrzeżenie — stwierdził poważnie Weninga. — A znalazł pan jakie papiery?

— Nie.
— Żle. Musiał wszystko mieć w portfelu.
— Prawdopodobnie, panie komisarzu... Tylko to znalazłem — dodał po chwili, wyjmując z kieszeni i kładąc na stole metalowe kołko z kluczami.

Weninga wziął je i obejrzał poszczególne klucze.

— Czy to było w walizce?

Rottwijn skinął głową.

— Te są z pewnością od walizki. Do nowej dają zawsze dwa — mówił Weninga, obracając klucze w palcach. — A ten? Zda się od samochodu.

— Tak jest, panie komisarzu, od Hispano-Suizy. Już się dowiedziałem.

Weninga pomyślał, że jednak to jest bardzo zdolny i sprytny wywiadowca, lecz to zdanie zachował dla siebie.

— Jak pan sądzi — zapytał — czy Stanton mógł mieć taki wóz?

— Mój Boże, wszystko możliwe — mruknął Rottwijn, pocierając nos — jedyną wydatną część małej, suchej twarzy.

Tribuna Czytelników

Jak traktuje się klientów?

Szanowny Panie Redaktorze. Uprzejmie proszę o zamieszczenie w swym poczytnym piśmie ni

niejszego listu.
W dniach 24—26 maja br. Pani inż. B. zamówiła w firmie „Leo” Marszałkowska 38, w firmie, która ogłasza się jako 1-sza chrześcijańska wytwórnia ubiorów uczniowskich, ubranko dla swego 13-letniego synka. Przymierzanie i poprawianie kroju trwało mniej więcej do 10—12-go czerwca. Przytem trzeba nadmienić, że cały ten czas Pani B. była narażona na lekceważenie ze strony personelu firmy „Leo”. Zniecierpliwiona Pani B. coś 12-go czerwca zrezygnowała z usług firmy ostatecznie, tracąc dobrowolnie zadatek, co zostało przyjęte przez firmę „Leo”. Najniespodziewaniej dn. 20 czerwca do Pani B. przynosi posłaniec firmy gotowe ubranko wraz z rachunkiem. Pani B. będąc konsekwentną odmówiła

przyjęcia ubranka, tymbardziej, że inna firma dawno już zamówienie uskuteczniła. Dnia 28-go czerwca przychodzi pozew sądowy z powołania firmy „Leo” o sumę wartości ubranka z potrąceniem zadatku. Państwo B. pozew przyjęli do wiadomości. w dniu 19-go bm. stawili się na rozprawę w Sądzie Grodzkim na godz. 10-tą. Tu przeczekawszy do godz. 14-ej dowiedzieli się o cofnięciu skargi przez firmę „Leo”. Do napisania powyższego listu czuję się w obowiązku, poprostu dlatego, że leży mi na sercu kwestia unarodowienia handlu. Mam wrażenie, że firma „Leo” jest jedną z tych firm, które swoim postępowaniem utrudniają zlikwidowanie dyktatury żydowskiej w tej branży.

Obserwator.

Nazwisko listu jest znane redakcji.

Café Club

Oddział I
Marszałkowska 150
(dom Hersego)

DZIŚ OTWARCIE

Chociaż w to nie wierzę. Zatrzymał się w skromnym hotelu. wynajął pokój za trzy guldery z pierwszym śniadaniem i nawet te śniadania wymówił... Nie, panie komisarzu, jestem głęboko przekonany, że nigdy nie miał i nie może mieć takiego samochodu.

— W każdym razie trzeba go szukać nie tu, ale w Anglii — wtrącił Weninga.

Wywiadowca pokłonił głową.
— To będzie bardzo trudno. Gdybyśmy przynajmniej numer znali...

— Spróbujemy. To są drogie maszyny, nawet w Anglii ich nie ma wiele... Nie wynajął tego samochodu i nie pożytył, bo musiałby zwrócić klucz. Pozostaje jedno prawdopodobieństwo: Stanton jest szoferem, do którego właściciel wozu ma tyle zaufania, że mu dał drugi klucz.

— Nie wygląda na szofera... — zaczął wywiadowcę.
— Wie pan co, Rottwijn? — przerwał Weninga. — Niech pan zapyta de Katta!

Wywiadowca błysnął oczami spod okularów.

— To chyba żart... — burknął po cichu.

— Co jeszcze?

— Byłem u Fokinga, panie komisarzu. Tam nie ma nic nowego, skrzynie już są odesłane. Teraz przejdę do ostatniego punktu: tego samego dnia, gdy Stantoną wywołano z kanału, ktoś do niego telefonował. Do hotelu.

— Kto?

— Jakaś pani. Była bardzo zdziwiona, gdy portier oświadczył, że Stanton nie nocował w domu i powiedziała, że później jeszcze raz zadzwoni, ale już nie dzwoniła.

— Czy wymieniała swoje nazwisko?

— Tak jest, pani van Straaten.

— Ciekawe! — zawołał przeciągle Weninga.

— Znaczenie ciekawsze jest to, panie komisarzu, że właśnie o tej porze — jak to ustaliłem ponad wszelką wątpliwość — pani van Straaten była na licytacji w sklepie Fokinga. Na minutę nie spuściłem z niej oka. Wiem z całą pewnością, że do momentu, gdy przerwano licytację tej księgi, nigdzie nie wychodziła i z lokalu nie telefonowała. Więc ma alibi.

(D. c. n.)